

6853

Biblioteczka „Społem!”



K. GIDE.



PRZYSZŁOŚĆ

KOOPERACJI



WARSZAWA

Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa

KRAKÓW—G. GEBETHNER I SPÓŁKA

—
1907.

Cena 20 kop.

PRZYSZŁOŚĆ KOOPERACJI

272201

Biblioteczka „Społem!”



K. GIDE.



PRZYSZŁOŚĆ
KOOPERACJI



WARSZAWA

Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa

KRAKÓW—G. GEBETHNER I SPÓŁKA

—
1907.

8.221

HD 360

ZH

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
w ŁODZI
Wydano z dubletów



8.221



381110 M

Drukarnia Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

D. 437/109 - 1948/49

Przyszłość kooperacji. *)

W ruchu współdzielczym odróżnić zawsze można dwa prądy, powiedziałbym niemal dwie partje, odpowiadające dwóm dążeniom, walczącym nieustannie w naturze ludzkiej: jeden — raczej pozytywny, który od kooperatywy spodziewa się natychmiastowych namacalnych korzyści; drugi—idealny, który od kooperatywy oczekuje nie tyle tego, co ona dać nam może, ile tego, co nam zapowiada.

O pierwszym kierunku powiem zaledwie słów parę. Bezsprzecznie, korzyści praktyczne, jakie zapewnia kooperatywa, nie są bynajmniej do pogardzenia, lecz są one już do syć znane takim jak nasi czytelnicy kooperatystom. Pozwolę przeto przypomnieć je jedynie w paru słowach.

*) Odczyt wypowiedziany przez K. Gide'a na zjeździe stowarzyszeń współdzielczych w Paryżu 13 maja 1888 r. Ogłoszony drukiem po raz drugi w 1900 r.—Przełożyła Z. Kosiewicz.

Niemiała to korzyść w czasach, kiedy dzienniki donoszą o otruciu setek osób z powodu wypicia fałszowanego wina lub spożycia nieświeżego pasztetu, mieć zapewnioną dostawę *uczciwego* towaru, w dobrym gatunku, towaru, który z całym zaufaniem można podać na stół. Kiedy się ma szczęście żyć w czasach, w których dzięki postępom nauki rozwiązano zadanie fabrykowania artykułów spożywczych, które nic spożywczego w sobie nie zawierają; kiedy już dokazano sztuki wyrabiania kawy bez kawy, czekolady bez kakao, wina bez winogron, masła bez mleka, a nawet, o dziwo, otrzymywania mleka bez pomocy krów; w czasach kiedy spotykamy kupców, pokazujących nam z dumą apetyczne konfitury z porzeczek zrobionych z galarety z morskizyny osłodzonej sacharyną, której nadano aromat przy pomocy esencji porzeczkowej, nie mającej również nic z owocem porzeczeki wspólnego, — w takich czasach trudno się oprzeć myśli, że jednakże stowarzyszenia współdzielczo-spożywcze zjawiły się w samą porę, że istotnie przyszły one w odpowiednim momencie psychologicznym.

Zjawiają się one, jak prawdziwe organy publicznego zbawienia dla wszystkich spożywców, nadewszystko zaś dla klas robotni-

czych, mniej zdolnych bronić się przeciwko tym bezwstydnym fałszowaniom artykułów spożywczych, za co zresztą mniej potępiać należy samych kupców, popełniających je, jak raczej tę smutną organizację handlową, która wytwarza konieczność oszukiwania, aby móc żyć. Rozwój stowarzyszeń współdzielczo-spożywczych dąży właśnie do zmiany tych handlowych obyczajów drogą radykalnego przekształcenia samej organizacji.

Niemałą również korzyść stanowi przyjęcie zasady *płatenia gotówką* i wprowadzenie jej w obyczaje, czego nie zaniedbują czynić wszystkie stowarzyszenia, a przez co uwalniają one robotnika od nieszczęsnego nałogu nabywania na kredyt; nałóg to zgubny dla kieszeni robotnika, bo oczywiście kupiec znajdzie zawsze sposób odbicia straty,znaczając wyższą cenę za towar, a nawet powetuje sobie na ludziach ucziwych, którzy płacić muszą za klientów niewypłacalnych. A co jeszcze ważniejsze nałóg ten jest zgubą dla spokoju robotnika, gromadzi bowiem na jego głowę rachunki i długi z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, sprowadza nań nieodłączne troski i gorycze i zatruwa nawet ten chleb, w pocie czoła spożywany. Nade wszystko zaś nałóg to zgubny dla jego godności i niezależności, robotnik bowiem, który

raz wpadł pomiędzy te tryby, nie należy już do siebie, staje się własnością swoich dostawców.

Najwięcej znaną i najbardziej namacalną, że tak powiem, korzyścią dla robotnika jest bądź *zmniejszenie wydatków*—jeżeli stowarzyszenie sprzedaje towary po cenie kosztu, bądź też *dodatkowy dochód*—jeżeli stowarzyszenie rozdziela osiągnięte zyski pomiędzy swych członków. Obydwa te systemy zdają się być równej wartości odnośnie do rezultatów, w rzeczywistości jednak drugi system, znany pod nazwą rochdalskiego, stoi bez porównania wyżej; został on jednogłośnie prawie przyjęty jako uświęcony doświadczeniem stowarzyszeń współdzielczych wszystkich krajów. O ile istnieją jeszcze stowarzyszenia, hołdujące pierwszemu systemowi, to można się tylko nad nimi litować, względy bowiem stanowiące o wyższości drugiego systemu poprostu same rzucają się w oczy. Przypomnę je tu w paru słowach: sprzedaż po cenach targowych: 1) pozwala na szerszy rozwój stowarzyszenia przy pomocy osiągniętych z takiej sprzedaży zysków; 2) przedstawia konkretniejszą korzyść dla robotników, dodatkowy bowiem dochód, otrzymywany przy końcu roku w postaci okrągłej sumki, ma dlań daleko większe znaczenie i przedsta-

wia znacznie większy stopień użyteczności, aniżeli codzienne groszowe oszczędności, i 3) nie budzi tak gwałtownej nienawiści handlujących, których sprzedaż po cenach niższych od targowych prosto wyprowadza z równowagi.

Najważniejsza korzyść praktyczna, jaką dać może stowarzyszenie współdzielcze, zjawia się wtedy, gdy stowarzyszony zgadza się pozostawić w kasie stowarzyszenia swój udział w zyskach, który staje się tym sposobem jego zaoszczędzonym kapitałem, równocześnie kapitałem obrotowym Stowarzyszenia. I znowu słyszę, że większość stowarzyszeń francuskich nie hołduje temu systemowi, że członkowie ich spieszą podjąć całkowitą przypadającą im dywidendę, którą też równie pospiesznie przejadają. W takich warunkach stowarzyszenie spożywcze przynieść może bardzo nieznaczne korzyści, a nawet wyradza bardzo nieszlachetne zamiłowanie, bo zamiłowanie dywidendy jedynie.

Gdyby jednak, jak się to dzieje w stowarzyszeniach angielskich, pozostawiano zysk roczny w całości, a choćby tylko znacznieszą jego część w kasie stowarzyszenia, mogłoby ono rozwijać się bezporównania szerzej, a tym samym, wzrosłaby i suma oszczęd-

dności każdego ze stowarzyszonych bez najmniejszego z ich strony wysiłku.

Wiem ja, wiem, że ten wyraz oszczędność niemile brzmi w uszach robotników, bo też może zanadto powtarzano mu go na wszystkie tony. Nie należę bynajmniej do tych, którzy głoszą, że oszczędność przyjść może robotnikowi z łatwością, że jeżeli nie oszczędza, to jedynie przez niechęć lub niedbalstwo. Nie, oszczędność dla robotnika jest rzeczą bardzo trudną, częstokroć nawet zupełnie niemożliwą. Czemu? Bo oszczędność zniewala zwykle do ofiary, do poświęcenia, do wyrzeczenia się czegoś, bo stanowi ona zawsze bolesną operację, coś w rodzaju prawdziwej amputacji, którą człowiek pracy zmuszony jest dokonać na jednej ze swych najkonieczniejszych potrzeb. Ale zważcie tylko, że w kooperatywie chodzi o oszczędność, która nie kosztuje, która nie wymaga od człowieka pracy żadnej ofiary, żadnego wyrzeczenia się, która go bynajmniej nie zmusza do jedzenia mniej, — przeciwnie, jadać będzie lepiej; ani też do ograniczenia wydatków — przeciwnie, im większe będzie robił zakupy, tym bardziej rosnąć będą jego oszczędności. Tym sposobem bolesna operacja, do której oszczędzanie porównałem przed chwilą, straciła w kooperatywie zupeł-

nie swój tak dla pacjenta niemiły charakter.

Może zdarzyło się wam kiedy wejść do gabinetu dentysty, łapiąc się na ten zachęcający napis: „tu się wyrywa zęby bez bólu“. No, to na drzwiach wchodowych wszystkich sklepów współdzielczych należałoby wyryć bezporównania prawdziwszy szyld: „tutaj oszczędza się bez przykrości“.

Korzyści praktyczne, osiągnane z kooperatywy, są przeto bezsporne, nie mam też bynajmniej zamiaru obniżać ich znaczenia, powiem nawet, że stanowią one najgenjalniejszą kombinację ulepszeń społecznych, dających się urzeczywistnić na razie.

Ale doświadczenie wykazało, że same te korzyści pomimo całego ich znaczenia okazywały się niewystarczającymi, aby kooperatywie dać potężny bodziec, aby zgromadzić tłumy pod jej sztandarem, jednym słowem, aby uczynić z niej potęgę. Doświadczenie wykazało, że jeżeli chcemy obudzić w ludziach zapał do idei współdzielczości, trzeba im pokazać w niej coś więcej nad jej korzyści pozytywne.

Często się słyszy zdanie, że interes kieruje ludźmi: jest to prawdą dla pojedynczych jednostek, lecz fałszem dla tłumów. Przeciwnie, na cześć ludzkiej natury przyznać

trzeba, że narody zapalają się jedynie do idei, które wydają im się wyższe nad interesy praktyczne, że oddają one duszę i wiarę tam jedynie, gdzie widzą wyższe ideały.

Czy ideał taki istnieje w kooperacji? Wierzę, że tak jest, wierzę, że stowarzyszenie współdzielcze uważać należy jako formę organizacji przemysłowej wyższej od obecnego ustroju ekonomicznego, której przeznaczeniem jest zastąpić go w bliższej lub dalszej przyszłości, a którą my sami przybliżyć możemy. Dodam nawet, że gdybym tak nie wierzył, nie mówiłbym tego wszystkiego dzisiaj i nie zmuszałbym was do słuchania rzeczy znanych. Gdyby bowiem kooperacja była jedynie środkiem do zdobycia lepszych warunków egzystencji, do ograniczenia wydatków albo do zgromadzenia pewnych oszczędności lub wreszcie do przeobrażenia kilku robotników najemników na pracodawców, — nie mogłaby ona stać się prawdziwą namiętnością, pewnego rodzaju wyznaniem wiary dla tylu ludzi, których mi się widzieć zdarzyło, poczynając od starców jak ten nierozłączny tercet nazwisk: Francisco Vigano we Włoszech, Vansittart Neale i Holyoake w Anglii, z których najmłodszy liczy 72 lata, najstarszy zaś jest prawie zupełnie ociemniały, a których mimo to widzieliśmy w Lyo-

nie, Medjolanie i Tours, przejeżdżających z kongresu na kongres, z kraju do kraju, wytrwale wierzących w powodzenie sprawy, której całe poświęcili życie,—a kończąc na innych młodszych jak taki Ugo Ratteno we Włoszech—nowych rekrutach gotowych do zajęcia miejsca po weteranach.

Gdyby kooperacja nie miała innego celu, ani też innych widoków, jak tylko założenie kilku udoskonalonych sklepów korzennych, lub wprowadzenie więcej lub mniej genialnego systemu oszczędności, to można mi wierzyć, że nie zdołałaby ona zjednoczyć we wspólnej wierze i wspólnych nadziejach milionów ludzi wszystkich krajów: Anglików, Włochów, Niemców, Amerykanów, a nawet Rosjan. Mielśmy przecież najlepszy tego dowód na tym Rosjaninie z Charkowa, Mikołaju Balinie, który pisał do kooperatystów francuzkich zgromadzonych na kongresie w Tours tej jesieni w liście odczytanym przeze mnie: „Czuję się szczęśliwym, gdy pomyślę, że wszyscy mamy wspólny ideał w kooperacji, podobnie jak jestem szczęśliwym, gdy pomyślę, że w chwili gdy ja patrzę na gwiazdę, mój brat oddalony patrzy też na nią“.

Tak, gwiazda — to trafne określenie. To nie sklep, a gwiazda, ku której miliony lu-

dzi zwróciły oczy, szukając w niej rozwiązania zagadnienia społecznego, a która jeżeli nie objawiła dotąd swej tajemnicy, to w każdym razie wlać zdołała z wyżyn trochę swych świetlanych promieni w niejedno serce uciśnione.

I wy, słuchacze moi, czyż nie należycie do tych milionów? Czy i wy widzicie w kooperatywie gwiazdę przewodnią? Zepewniają mi, że nie, mówią mi, że spodziewacie się od kooperatywy jedynie tych kilku wyliczonych przezemnie przed chwilą korzyści pozytywnych; że tych, którzy od kooperatywy oczekują przekształcenia istniejącego obecnie ustroju społecznego, uważacie za marzycieli i utopistów. Jeżeli to prawda, w takim razie zgadzacie się najzupełniej — co was raczej dziwić, aniżeli pochlebiać wam powinno — z wodzami liberalnej i burżuazyjnej ekonomji politycznej, którzy również twierdzą, że takie nadzieje są po prostu chimera, a ci, w których mózgach gnieźdzą się one, — są lunatykami.

Owóż pragnę dowieść wam dzisiaj, że te widoki przekształcenia obecnie istniejącego porządku społecznego przez stowarzyszenia współdzielcze nie są bynajmniej taką utopją, jakby się z pozoru zdawać mogło; pragnę was przekonać, że nie chodzi tu wcale o ja-

kieś sentymentalne utopje, lecz o przewidywania oparte na naukowej metodzie, które, chociaż nie noszą charakteru absolutnej pewności, bo i któż może sobie pochlebiać, że w dziedzinie wiedzy mocen jest przepowiedzieć przyszłość z wszelką pewnością, w każdym jednak razie stanowią najracjonalniejszą hipotezę, jaką mamy prawo tworzyć w obecnym stanie nauki.

Wyraz „stowarzyszenie“ nie jest wcale nowym. W pierwszej połowie bieżącego stulecia powtarzano go tyle razy, że w końcu nużyć zaczął swą banalnością i dopiero nauka obecnej doby pomściła to zbanalizowanie i podniosła go do wysokości najwyższych prawd naukowych, wykazując, że stowarzyszenie jest w rzeczywistości najogólniejszym prawem świata, prawem, któremu podlegają równocześnie zarówno nieskończenie wielcy, jak i nieskończenie mali.

Wiedziano z dawien dawna, że nasz system słoneczny jest stowarzyszeniem światów, lecz nieiedziano, że wszystkie gwiazdy, jakie widzimy w niebieskich przestworzach, są stowarzyszone pomiędzy sobą w roje gwiazd i mgławic. Wiedziano, że wszystko, co widzimy i czego dotykamy w przyrodzie, stanowi stowarzyszenie molekul, lecz nieiedziano jeszcze, że i te mole-

kule są znowu stowarzyszeniami atomów, zgrupowanych według pewnych praw, które dzięki swym różnorodnym kombinacjom nadają stałej materji rozmaite własności i zmienne postacie. Niema chyba pomiędzy wami takiego, któryby nie widział tego, co nazywamy kryształami; owóz te kryształy są właśnie niczym innym, jak tylko stowarzyszeniami molekul, powstającymi odrazu przy odpowiednich sprzyjających warunkach, według pewnych określonych praw, które można by nazwać *ustawami* tych stowarzyszeń, a które przyjmują geometryczne kształty, barwy i blask, cechujący djamenty lub rubiny.

Wiedziano, że i pomiędzy zwierzętami istniały niektóre formy stowarzyszeń, jak np. stowarzyszenia u pszczoł i mrówek, nie wiedziano wszakże, że te stowarzyszenia zwierzęce są niezmiernie liczne i że właśnie przy pomocy zrzeszeń najdrobniejszych ustrojów przyroda przeprowadzała najrozleglejsze swe plany. Dowodem te zrzeszenia zwierzo-krzewów, zwanych koralami, budujące powoli w łonie Oceanu Spokojnego rafy podwodne, wyspy, całe archipelagi, a może i cały nowy ląd stały, który będzie schronieniem przyszłych ras w dniu, kiedy nasz stary świat stanie się zbyt ciasnym, aby je wszystkie pomieścić.

Wiedziano, że ciało ludzkie jest stowarzyszeniem organów, mięśni, nerwów, kości, naczyń, serca, płuc, z których każde ma swoje zadanie, czyli używając naukowego określenia, swoją „funkcję“ ściśle określoną: jeden pobudza działanie krwi, drugi ją oczyszcza, inny ogrzewa całą maszynę, a każdy *współdziała* — wyraz ten jest tu zupełnie na miejscu — do życia i dobrego stanu całego stowarzyszenia, czyli całego organizmu. Lecz nie wiedziano, że każdy z tych organów jest z kolei zrzeszeniem jednostek niedostrzegalnych gołym okiem, zwanych komórkami, z których każda ma swą indywidualność, swoje własne życie, wszystkie zaś łączą się we wspólnej pracy. Tak wy, którzy mnie słuchacie, ja, który do was mówię, i ci nawet, którzy szydzą z kooperatywnych złudzeń, wszyscy jesteście zrzeszeniami współdzielczymi, złożonemi z milionów i miliardów mikroskopijnych jednostek, stowarzyszeniami stowarzyszeń. One to nadają nam ruch i byt, a przechodząc od ciała do duszy, — znowu stowarzyszenie na zasadzie świeżo odkrytego prawa t. zw. asocjacji (skojarzenie) wyobrażeń nadaje ciąg myślom, które wypowiadam w tej oto chwili, i ono to jedynie pozwala mi je wyrazić podobnie, jak wam zrozumieć mnie.

I to również jest bardzo pewnym prawem w nauce biologji, że im istota jakaś zajmuje wyższy szczebel na drabinie życia, tym większą jest złożoność tych stowarzyszeń, tym silniejsze węzły solidarności łączą pojedyncze cząsteczki składające jej organizm. Rozwój zrzeszenia roślin wciąż stopniowo, poczynając od minerału aż do robaka, od robaka do człowieka, a stopień jego doskonałości wydaje nam się być również probierzem postępu.

Czemużby więc to prawo, rządzące całą przyrodą, nie miało rządzić i ludźmi, żyjącymi jako narody i społeczeństwa, dlaczego nie mamy uważać za pewnik, że w miarę jak organizm społeczny będzie się rozwijał i zdobędzie wyższe, doskonalsze życie, prawo zrzeszenia coraz większego nabierać będzie znaczenia? Nietylko węzły, łączące wszystkich członków jednego narodu lub nawet cały rodzaj ludzki zacieśniają się coraz mocniej, lecz nadto w łonie masy tworzyć się będą grupy coraz liczniejsze i coraz różnorodniejsze, prawdziwe organy, przeznaczone do spełniania różnych funkcji społecznych.

Widzimy, że tak się już dzieje. Zjawisko to rzuca nam się w oczy. Przedewszystkim coraz silniej odczuwamy węzły powszechnego współdziałania łączące wszystkich ludzi

jednego kraju, a nawet i różnych krajów. Chłopak ze sklepu korzennego, odważający na wadze torebkę kawy, gosposie, które ją gotują w swojej maszynie, współdziałają bezwiednie z murzynem, który zebrał te ziarna kawy na plantacji w Brazylii, i ze sternikiem, który kierował okrętem przywożącym tę kawę do naszych portów. Tak, wszyscy jesteśmy związani pomiędzy sobą wzajemnie niewidzialnymi łańcuchami i podobnie jak w pajacu, skaczącym na nitce, każde poruszenie naszego palca wywołać musi odpowiedni ruch, na drugim krańcu świata, w jakimś Chińczyku lub Australczyku. Tak, wszyscy jesteśmy opłątani olbrzymią siecią, jaką zarzuciła na nas świadomość solidarności pomiędzy ludźmi, siecią, pokrywającą całą kulę ziemską.

A wśród tego powszechnego zrzeszenia ludzkiego mnożą się z dnia na dzień nowe oddzielne stowarzyszenia i to nietylko w dziedzinie religji lub polityki, lecz i w dziedzinie literatury — dla obrony praw autorskich, w dziedzinie sztuk pięknych — dla organizowania wystaw, w czasie wojny — dla zapewnienia pomocy rannym, dla organizowania wypraw naukowych, dla wspólnego odbywania ćwiczeń gimnastycznych lub strzelania do celu, dla wspólnych podróży lub wspólnej

rozrywki. Wszędzie na każdym polu widzimy powstawanie coraz nowych stowarzyszeń. A we właściwej dziedzinie ekonomicznej, czy chodzi o założenie wielkiego magazynu, czy o plantację wina lub eksploatację kopalni, wszędzie widzimy zawiązywanie się stowarzyszeń handlowych, przemysłowych czy rolniczych, noszących nazwę towarzystw akcyjnych.

Jednym słowem śmiało rzec można, że nie ma takiego przejawu działalności społecznej, który by nie był reprezentowany przez jakąś formę samodzielnie powstającego stowarzyszenia. Przyrodzone prawo zrzeszenia sprawdza się tu przeto aż do najdrobniejszych szczegółów. Jedna tylko zachodzi różnica, mianowicie, że atomy, które tworzą ciała nieorganiczne, są to jednostki pozbawione woli i czynność przez nich dokonywana jest nieświadomą siłą przeznaczenia, podczas gdy jednostki, stwarzające rozliczne formy stowarzyszeń ludzkich, są a przynajmniej *powinny być* świadome zadania, jakie mają wypełnić, a powierzona im czynność społeczna wykonaną zostanie tym lepiej, im jaśniej rozumieją, że są oni czynnikami i współdziałaczami we wspólnej pracy i im do pracy tej wносить będą działalność bardziej świadomą i rozważną.

Otóż wyznać należy, że jak dotąd przynajmniej, nasze nowoczesne stowarzyszenia wypełniają ten warunek w sposób zupełnie niezadowolający. Wszystkie wskazane przeze mnie przed chwilą formy stowarzyszenia, zwłaszcza zaś te wielkie towarzystwa akcyjne, które dążą do owładnięcia powoli całą dziedziną produkcji, można uważać jedynie za bardzo niedoskonałe formy stowarzyszenia i, jakkolwiek wielu ekonomistom podoba się widzieć w nich ostateczną formę ewolucji społecznej, my możemy uznać w nich jedynie formę przejściową i bardzo jeszcze niedoskonałą, która stanowi już wprawdzie krok naprzód ku normalnemu stowarzyszeniu, lecz jest jeszcze od niego bardzo daleką.

Bo weźmy które z tych stowarzyszeń, np. takie Towarzystwo kopalń z Bessèger lub Anzin — mniejsza o nazwę. Widzimy w nim tysiące ludzi zrzeszonych w przedsiębiorstwie, złączonych wspólnością pewnych interesów: z jednej strony kilka tysięcy robotników kopiących ziemię, z drugiej kilka tysięcy akcjonariuszów, zlewających swe kapitały, ale gdzież tu jest właściwe stowarzyszenie w istotnym tego słowa znaczeniu? Czy istnieje stowarzyszenie pomiędzy pra-

Przyszłość kooperacji.



cownikami z jednej, a akcjonariuszami z drugiej strony? Bynajmniej. Pracować na rachunek osoby trzeciej nie znaczy to bynajmniej być z nią stowarzyszonym. Przeciwnie, widzę pomiędzy niemi, jeżeli nie wrodzone wrogie uczucie, to przynajmniej antagonizm: jedni narzekają na każde podniesienie płacy, które zmniejsza dywidendę, drudzy uskarżają się na wszelki rozdział dywidendy, który w tym samym stosunku zmniejsza ich płacę. Ci pracują w przedsiębiorstwie, z którego nie zbierają owoców, tamci zabierają cały plon z przedsiębiorstwa, w które nie wkładają swej pracy. Szczególne stowarzyszenie, do którego jedni wnoszą jedynie swe sakiewki, drudzy zaś jedynie swe żale, a nikt nie wnosi duszy! Może przynajmniej istnieje stowarzyszenie pomiędzy pracownikami: stowarzyszenie na dobrą i złą dolę, na starość, na zabezpieczenie od kalectwa i nieszczęśliwych wypadków? Tak, czasem, i to w formie bardzo niedoskonałej. Wreszcie czy pomiędzy samemi akcjonariuszami istnieje stowarzyszenie? Tak, stowarzyszenie na papierze, w tym pojęciu, że wszyscy oni mają w swych portfelach papiery wartościowe tego samego koloru, z temi samemi rysunkami, t. zw. akcje; niema jednak pomiędzy niemi żadnej solidarności prawnej, po-

nieważ odpowiedzialność każdego z nich warunkuje się wysokością jego udziału; nie ma żadnych węzłów istotnej solidarności pomiędzy akcjonariuszami, którzy przecież najczęściej nie znają się wcale pomiędzy sobą. Często nawet nie znają i przedsiębiorstwa, w którym są nibyto stowarzyszonymi. Przekonany jestem, że z liczby akcjonariuszów takiego towarzystwa w Anzin większość nie widziała nigdy kopalń w Anzin, a niezawodnie z 400.000 akcjonariuszy, należących do towarzystwa t. zw. Kanału Panama, bardzo wielu nie umiałoby pewno powiedzieć, czy Panama znajduje się w Azji czy w Ameryce.

I to się nazywają stowarzyszeni? Nie, zaiste, to profanowanie tego miana: pozorna łączność nie upoważnia do twierdzenia, że jest to prawdziwa solidarność. Drzewo i bluszcz, który go opasuje, są połączeni, ponieważ gałęzie ich płaczą się pomiędzy sobą, lecz ten uścisk dusi oboje.

Towarzystwa kapitalistyczne możemy uważać jedynie, jako proste zestawienie różnorodnych elementów, które nietylko się nie łączą, lecz przeciwnie, odpychają się wzajem.

Prawdziwe stowarzyszenie, jedyne zasługujące na tę nazwę, wymaga tożsamości in-

teresów, wzajemności usług, skwapliwej i ochoczej pomocy i dobrej woli, poczucia współdziałania we wspólnym dziele, będącym równocześnie własnością wszystkich i każdego z osobna, jednym słowem, wszystkim tego, co stanowi charakterystyczne cechy stowarzyszenia współdzielczego, podobnego do tych, do jakich wy, szanowni moi słuchacze, należycie. Tak, wasze stowarzyszenia robotnicze przedstawiają w waszej skromnej sferze formę organizacji przemysłowej, która siłą porządku rzeczy stanie się formą przyszłej organizacji. Śmiało możecie sobie powiedzieć, że wasze małe stowarzyszenia są już dziś obrazem tego, czym stanie się wielkie stowarzyszenie w przyszłości.

Wierzymy w przyszłość kooperacji, bo widzimy w niej wynik naturalnego prawa, potężniejszego od woli ludzkiej, działającego samoistnie pomimo ich wahań i zwątpień. Nie należy jednak wyprowadzać stąd wniosku, że wystarczy założyć ręce i pozwolić działać samej sile porządku rzeczy, który bez najmniejszego wysiłku z naszej strony zapewni tryumf idei współdzielczej. Prawa społeczne nie działają w taki automatyczny, żywiołowy sposób; służą one ludziom, o ile ci umieją się nimi posługiwać. Mogą one posuwać ludzkość naprzód na drodze postę-

pu, trzeba jednak na to, aby i ludzie posuwali się w tym kierunku i współdziałali poniekąd z prawami przyrody. Jeżeli jakiś naród lub jakaś warstwa społeczna nie będzie sama nic robić, aby dojść do celu, ku któremu wiedzie ewolucja,—to niezawodnie celu tego nie osiągnie nigdy, ustanie w połowie drogi, a inni szczęśliwsi go wyprzedzą.

Nie będę wam mówił o Anglii: wiadomo wam, jak szeroko rozwinął się tam ruch współdzielczy. Pragnąłbym jednak pomówić nieco obszerniej o ruchu w Stanach Zjednoczonych, ponieważ prawdopodobnie jest on wam mniej znany.

Musieliście coś słyszeć o tym olbrzymim stowarzyszeniu robotników amerykańskich, noszącym zbyt może szumną nazwę „Świętego Zakonu Rycerzy Pracy“, założonym przed 19 laty przez krawca Uriah Stephens'a i liczącego obecnie przeszło 500.000 stowarzyszonych. Oto jaki cel wytknęło ono w swym programie:

„Oświadczamy, że dążeniem naszym jest:

1) Uważać wartość moralną i przemysłową, a nie bogactwo jako istotną podstawę wielkości danego państwa;

2) Zapewnić pracownikom całkowite korzystanie z bogactw przez siebie wyprodukowanych... jak również ze wszystkich korzy-

ści, rozrywek i przyjemności, jakie dać może stowarzyszenie“.

Aby osiągnąć ten cel zaczynają od wyliczenia różnych reform, których należy domagać się od rządu, jako to: założenia Biur statystyki pracy, ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków w fabrykach, zakazu pracy dzieci do lat 15-u i t. d. — program kończy artykuł, na który zwrócić pragnę waszą uwagę:

„Postawimy powyższe nasze żądania sferom rządzącym, a równocześnie postaramy się skupić nasze własne siły do zakładania instytucji współdzielczych, które by przez wprowadzenie nowego systemu przemysłowego umożliwiły zniesienie systemu najmu“.

A to, co wyrzekli wtedy, nie były puste słowa: rozwinęli działalność w duchu tych słów i starali się je w czyn zamienić. Założyli biuro współdzielcze, wszędzie gdzie tylko mogą zakładają stowarzyszenia współdzielczo-spożywcze, niedawno zaś stworzyli w New-Yorku magazyn sprzedaży własnych produktów tych stowarzyszeń. W świeżo wydanym i bardzo sumiennie opracowanym dziele prof. Hugo Rabbeno wymienia on do 12-u stowarzyszeń wytwórczych, założonych przez Rycerzy pracy, jako to: zakłady szewc-

kie, drukarnie, fabrykę rękawiczek, magazyn gotowego ubrania, fabrykę porcelany, fabrykę wyrobów gumowych i t. d. Zauważyć należy, że w przeciwieństwie do angielskich stowarzyszeń współdzielczych, powstających zupełnie samodzielnie, lub też wnoszących do kasy związkowej jedynie bardzo niewielką składkę, stowarzyszenia współdzielcze Stanów Zjednoczonych zakładane przez Rycerzy pracy obowiązane są wносить do ogólnej kasy Zakonu znaczną część zysków, niektóre $\frac{1}{10}$, inne zaś nawet całkowity roczny dorobek, który obracany bywa na zasiłki dla już istniejących oraz na zakładanie nowych stowarzyszeń współdzielczych.

Dziennik Zakonu „Knights of Labour“ oświadcza, że należy doprowadzić kapitał stowarzyszenia do 30 milionów franków i dodaje: „precz z funduszem na cele strajkowe, wszystko na fundusz współdzielczy“ („Down with the strike fund and up with the cooperative fund“).

Dzięki takiemu systemowi postępowania przedsiębiorstwa współdzielcze mogły powstawać na pożytek nie już pojedynczych grup pracowników, lecz z dobrodziejstw ich korzysta cała klasa robotnicza. Tym sposobem kooperatywa nie jest środkiem do przemiany kilku robotników z najemników na

pracodawców, lecz dąży do podniesienia poziomu wszystkich robotników jako całej warstwy społecznej.

Francja nie stoi jeszcze tak wysoko, niestety. Powstała przed kilkoma laty Federacja musiała wyrzec się myśli otrzymania od należących do niej stowarzyszeń skromnej 15-centymowej składki rocznej od każdego członka, a nawet obniżywszy tę składkę do 5 centymów rocznie jeszcze nie zawsze może ją wydobyć. Nie znaczy to bynajmniej, aby Francja nie posiadała znacznej liczby stowarzyszeń spożywczych, oczywiście nie tak wielkiej jak w Anglii, lecz pewno nie mniej niż w innych krajach, nie mówiąc już o syndykatach rolniczych, liczba których wzrasta codzień nieledwie. Oprócz tego posiada Francja i kooperatywy wytwórcze. To też nie w ilości stowarzyszeń leży jej niższość na polu kooperacji, lecz w tym, że idea współdzielczości nie zawładnęła całą masą ludności robotniczej i nie zdołała nawet zgrupować wielkiej partji kooperatywnej jak np. w Anglii lub Stanach Zjednoczonych. Nie ma tu tego, co stanowi duszę kooperacji — brak wiary!

Klasa robotnicza nie wierzy dziś w kooperatyzm, a przynajmniej nie wierzy weń jako w narzędzie przekształcenia istniejącego

porządku społecznego. Skądże to zniechęcenie? Objaśniano je sobie w rozmaity sposób: brakiem kapitału, złą administracją kierowników, brakiem subordynacji samych stowarzyszonych i t. d. Wszystkie te przyczyny niewątpliwie odegrały pewną rolę, moim zdaniem jednak chwilowy zastój w ruchu współdzielczym przypisać należy przyczynom szerszej i ogólniejszej natury. Ponieważ danym mi jest zabrać głos w tej sprawie, pozwalam sobie wskazać je na tym miejscu z zupełną szczerością.

Pierwszą przyczyną jest duch niezgody, ten fatalny brak jedności, który zda się być wrodzonym rasie. Widocznie jakiś zły duch rzucił orok na kolebkę narodu francuzkiego słowy: „zawsze ilekroć zejdzie się dwóch Francuzów, musi się utworzyć dwie partje“. Nie przesadzam bynajmniej: pozwólcie, że wam powtórzę bardzo charakterystyczną anegdotkę.

Zdarza mi się dosyć często odwiedzać jedną gminę odznaczającą się tym, że jest to najmniejsza gmina w całej Francji, liczy bowiem zaledwie 7-u wyborców. Jak wiadomo, prawo wymaga minimum 10-u członków rady miejskiej. Trzeba przeto wybrać większą liczbę radców, aniżeli jest wszystkiego wyborców. No, pomyślcie sobie, w tej gmi-

nie chyba kłótnie w dzień wyborów należeć muszą do osobliwości. Właśnie, że grubo się mylicie: w czasie ostatnich wyborów utworzyły się dwie listy wyborcze rywalizujące ze sobą i o mały włos nie doszło do balotowania.

Zarzucicie mi może, że jest to cecha czysto prowincjonalna. Zapewne, lecz i w stołecznym mieście nie zabraknie kości niezgody: niema tych, znajdzie się tyle innych. Mówiono mi np., że wszyscy, jak tu jesteście, nienawidzicie burżujów. „Przynajmniej nie mów im pan o tym“ — podszeptywano mi do ucha. Otóż pozwólcie, przeciwnie, że temat ten poruszę. Najzupełniej się z wami zgadzam, że niektórzy z pomiędzy burżujów zasługują na nienawiść, lecz trafiają się tacy i pomiędzy robotnikami. Gdybyście się wszakże trochę więcej przejęli ideją, jaką rozwijałem przed wami przed chwilą, mianowicie, że kolejnymi formami organizacji społecznej rządzą pewne stałe prawa przyrodzone, nie moglibyście mieć do nich żalu, bo wtedy bylibyście przekonani, że wszyscy oni: właściciele, kapitaliści, przedsiębiorcy, zarówno jak i najemnicy są wytworem istniejącego porządku, z którego wprawdzie czerpią korzyści, lecz za który nie można ich czynić odpowiedzialnymi, ponieważ nie oni go

stworzyli. A jednak warto może, byście nauczyli się czegoś, przestając w ich towarzystwie — choćby tego, jak zająć ich miejsce w przyszłości.

Nie wiem, czy robotnicy angielscy lub amerykańscy są lepiej względem burżujów usposobieni, bardzo być może, że nie, lecz nie wyłączają ich pomimo to ze swych szeregów. Zakon Rycerzy Pracy wyklucza ze swego stowarzyszenia jedynie trzy kategorie burżujów, na potępienie których ostatecznie zgodzić się mogę, a mianowicie: polityków, adwokatów i szynkarzy. A jednak można usunąć tę antypatję pomiędzy burżuazją a sferą robotniczą i uczynić to można właśnie przez kooperację.

Zdarzyło mi się kiedyś przechodzić z moim przyjacielem de Boyve bulwarem w Nîmes: padał deszcz i dwóch zamiataczy ulic przy pomocy długich grac spychało rzadkie błoto z chodników na bruk uliczny; jeden z nich na nasz widok zaprzestał roboty i, skinąwszy przyjaźnie głową de Boyve, zawołał: „do widzenia wieczorem!“ „Do widzenia wieczorem!“ — powtórzyłem zdumiony, co ten gada? Czy kazaliście mu przyjść dziś wieczorem do biura Towarzystwa dobroczynności? Bynajmniej,—odparł—ci dwaj zamiatacze ulic są członkami naszej kooperatywy

i dziś właśnie mamy miesięczne zgromadzenie. W istocie na zebraniu spotkałem naszych dwóch zamiataaczy, a obok nich robotników, mieszczan, socjalistów, przypominam sobie nawet, że znalazł się pomiędzy nimi i anarchista, i bankier. A pomimo to, zapewnić was mogę, że wszyscy oni stanowili zupełnie zgodne towarzystwo.

Takie np. stowarzyszenie współdzielcze w Montpellier ma raczej burżuazyjny charakter; pomimo to liczy w swych szeregach i wielu robotników, wprawdzie nie zamiataaczy, bo tych niestety miasteczko nie posiada zbyt wielu, lecz prawdziwych robotników mularzy, malarzy i t. d. i możecie mi wierzyć, że ani my ich, ani oni nas nie wodzą za nos, co stanowi niezbędny warunek dobrych przyjacielskich stosunków. Zbieramy się tam od czasu do czasu w magazynie współdzielczym, gdzie nie wystarcza krzesel dla wszystkich, a zapaliwszy światło i zapuściwszy rolety, zaczynamy dyskutować: jedni siedzą na krzesłach, inni na ladzie sklepowej, jeszcze inni na worach z kartoflami, lecz każdy nawet najbiedniejszy pośród nas ma uczucie, że jest u siebie w sklepie, gdzie ma prawo uważać się za właściciela na równi z innymi; w domu, który ma prawo nazwać swoim. I wiercie mi, nieraz miałem uczucie

sprawiedliwej dumy na myśl, że w tym składzie za sklepem nasze małe stowarzyszenie przedstawiało wszystkie cechy uczciwej społecznej pracowitej demokracji, że urzeczywistnia ono w prawdziwym tego słowa znaczeniu i to bez porównania lepiej od tylu kłamliwych haseł: równość praw, swobodę przekonań, braterstwo wzajemnych usług, jednym słowem największe nawet rzecyzpolite powinny się czuć dumne i szczęśliwe, gdyby zdołały stać się doń podobnemi.

Drugą przyczyną, która odwróciła partję robotniczą od idei kooperatywnej, był rozwój idei socjalistycznej, głównie zaś kolektywizmu. Socjaliści usiłowali przedstawiać kooperatystów, jako prostych sobie burżujów. To zależy od zapatrywania. Niedawno temu kupcy korzenni i rzeźnicy w Montpellier, przerażeni szybkim rozwojem stowarzyszenia współdzielczego, sprowadzili umyślnie z Paryża mówcę, aby na publicznym od-czycie wypowiedział mu walkę. I ten ich rzecznik rozwijał tezę, że my wszyscy kooperatyści w rzeczywistości jesteśmy kolektywistami, że świadomie czy nieświadomie prowadzimy dzieło socjalistów. Nie masz powodu uskarżać się na jego argumentację, która zjednała nam 200 nowych członków, lecz ostatecznie należałoby się raz dobrze

porozumieć, co do tych sprzecznych udzielanych nam przydomków. Co do mnie, to przyznaję, że zawsze miałem pewnego rodzaju zaufanie do ludzi kamienowanych z dwóch stron jednocześnie.

Przedewszystkiem muszę wyjaśnić, w czym różnimy się od kolektywistów, a nie mam bynajmniej zamiaru zwijać naszego sztandaru. Różnimy się zatem od nich w dwóch zasadniczych punktach.

Po pierwsze—nie widzimy bynajmniej konieczności zniesienia własności osobistej, nawet odnośnie do narzędzi produkcji, powiedziałbym—zwłaszcza dla tych narzędzi pragniemy, aby robotnik został ich właścicielem. Tak było dawniej, dopóki znano ręczne narzędzia jedynie. Wtedy robotnik był rzemieślnikiem niezależnym, samoistnym. Z chwilą jednak, kiedy narzędziem produkcji staje się maszyna, robotnik traci swą niezależność: odtąd narzędzie pracy, jako zbyt kosztowne dla robotnika, staje się własnością kapitalisty — i w ten sposób dokonywa się ten zgubny rozdział pomiędzy producentem a narzędziem produkcji. My zaś chcielibyśmy poprostu, aby ten rozdział się skończył, aby robotnik już nie sam, bo dziś to już niemożliwe, lecz przez stowarzyszenie został



znowu współwłaścicielem tych narzędzi produkcji.

Drugą różnicę pomiędzy kolektywistami a nami stanowi, że my trochę nie dowierzamy przymusowi i wszelkim środkom przymusowym, niezbędnym do wprowadzenia w życie tej idei. Uznajemy wprawdzie wpływ państwa—ja sam przynajmniej w odróżnieniu od innych kooperatystów należę do szkoły, uznającej interwencję prawodawcy w obronie interesów jednostki, — lecz my nie bardzo wierzymy w skuteczność rewolucji, a nawet prawo do wytworzenia nowego porządku drogą samego autorytetu. Mamy pewną obawę, — wyznaję szczerze, — wobec wszelkiej olbrzymiej machiny, w której tryby wszyscy radzi nie radzi musielibyśmy być wciągnięci.

Z temi zastrzeżeniami zgadzamy się ze szkołą socjalistyczną na bardzo ważnych punktach, a mianowicie usunięcia wszelkiego pasorzytniczego pośrednictwa, konieczności przyznania nadwartości czyli zysku temu, komu zysk ten słusznie się należy, i zastąpienia pracy najemnej — pracą zrzeszoną. Nic przeto nie staje na przeszkodzie, aby ci z pośród was, którzy należą do partji kolektywistów, przystąpili do ruchu współdzielczego, aby iść jedną drogą z nami — przynajmniej

przez czas pewien — poczym będziemy mogli się rozłączyć i pójść jedni na prawo, na lewo zaś drudzy. Lecz te rozstajne drogi jeszcze daleko. Dojdziemy do nich wtedy dopiero, skoro powstanie kwestja zniesienia własności osobistej, co nieprędko jeszcze nastąpi—możecie mi wierzyć. Tymczasem zaś możemy śmiało kawał drogi zrobić razem.

Socjalizm i kooperacja są nawet,—śmiało rzec można — rodzeństwem z pochodzenia. Oboje mają tych samych ojców: Roberta Owena w Anglji i Karola Fouriera we Francji. Razem wyrosli, oczywiście od wczesnych lat zdradzając różnicę temperamentów: on bardziej wojowniczy, ona spokojniejsza; on liczący na wolność jedynie, ona poszukująca raczej równości: pomimo te różnice jednak, szli oboje ręką w rękę aż do roku 1879 do kongresu Marsylskiego, gdzie kolektywiści i kooperatyści po raz pierwszy wszczęli spór o tę nieszczęsną kwestję kolektywnego posiadania ziemi, fabryk, maszyn i t. d. Uważam jednak z radością, że od jakiegoś czasu kolektywiści zdają się uważać sami, iż może zbyt pospiesznie wyrzekli się idei kooperacji. Obywatele Benoit Malon i Cezar de Paepe przyznają się do tego bardzo otwarcie i bardzo wyraźnie. Pozwalam sobie przytoczyć kilka wierszy z artykułu, który Cezar de Paepe

ogłosił w „Avant Garde“ p. t. „Kooperacja i socjalizm“.

„Zaczyna się budzić świadomość, że ci dwaj mniemani wrogowie: kooperacja i socjalizm nie są tak nieprzejednani, jak się pierwotnie wydawało, że mogą doskonale iść razem, wspierając się wzajemnie.. Widzieliśmy w Niemczech, jak oficjalny organ partji socjalistycznej „Trybuna ludu“ w Berlinie, współpracownikami której są Liebknecht i Bebel, zwraca uwagę swych czytelników na sposób praktykowania kooperacji w łonie partji robotniczej i kończy zapytaniem, czy socjaliści nie byli w błędzie, potępiając ruch współdzielczy i czy nie należałoby dążyć do poprawienia tego błędu? To samo zdanie wypowiada „Philadelphia Tageblatt“, niemiecki organ socjalistyczny w Stanach Zjednoczonych“.

Istnieje jeszcze trzecia przyczyna, odwracająca partję robotniczą od idei kooperatywnych. Większość robotników we Francji wierzy, że do wyzwolenia klasy robotniczej prowadzi droga daleko krótsza i skuteczniejsza, mianowicie droga rewolucji. Lud nie wierzy w kooperację po prostu dlatego, że wierzy w rewolucję. Oto główna przeszkoda.

Nie mam zamiaru rozbierać na tym miejscu słuszności idei rewolucyjnej. Nie mogę nawet bezwarunkowo przeczyć, że ten środek ostateczny czasem narzuca się sam. Pragnąłbym jednak wykazać, że nawet ci, którzy wierzą w rewolucję, nie mają dostatecznej racji do odwracania się od kooperacji, powiedziałbym nawet przeciwnie, że jest to jeden powód więcej do śmiałego wejścia na drogę współdzielczości. Zrozumiemy się. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że należy szerzyć kooperację jedynie celem przygotowania się do rewolucji, jak utrzymywano w jednej szkole, — my bowiem sądzimy przeciwnie, że rezultatem kooperacji będzie to, iż uczyni ona rewolucję zupełnie zbyteczną, — lecz chcę przez to powiedzieć, że jeżeli kiedykolwiek rewolucja nastąpi, to klasa robotnicza będzie mogła korzystać z jej owoców jedynie dzięki uprzednio wprowadzonej idei kooperacji.

Przypuśćmy oto, że rewolucja społeczna nastąpi—dajmy na to—już w dniu jutrzejszym. Krwawy dzień skończony — uwięszyło go zupełne powodzenie, lud odniósł zwycięstwo na całej linii: burżuazja jako klasa społeczna nie istnieje; własność indywidualna zniesiona; ziemia, kopalnie, fabryki, maszyny, magazyny, koleje żelazne, banki—

wszystko jest w rękach ludu. Jak widzicie, obraz wspaniały, kładziecie się tedy do łóżek burżujów, a sny złote was kołyszą... No, a dalej co? Te folwarki, fabryki, koleje żelazne, banki, magazyny—trzeba to wszystko poprowadzić. Trzeba puścić na nowo w ruch cały ten olbrzymi aparat ekonomiczny, cały ten mechanizm produkcji i wymiany, podtrzymujący życie ekonomiczne z dnia na dzień, a którego zatrzymanie na dzień jeden może spowodować śmierć całego społecznego organizmu, podobnie jak przerwa w obiegu krwi musiałaby natychmiastowo wywołać ustanie życia.

Nie mówcie mi, że się to wszystko zrobi potrochu, że potrzeba wam dać czas, że musicie odbyć naukę, wyterminować. Nie, wymogi życia społecznego nie darują wam ani jednego dnia, ani jednej minuty. Odrazu, natychmiast będziecie musieli objąć kierownictwo ekonomiczne i przyjąć za nie odpowiedzialność—inaczej społeczeństwo zginie, albo raczej nie, nie zginie, lecz w szpazmie agonji odtrąci nowy porządek społeczny, który je dławi, i wróci do dawnego życia.

Pamiętajcie, że jakakolwiek partja zchwila, gdy dojdzie do władzy, musi zapewnić dalsze nieprzerwane życie ekonomiczne w kraju, inaczej zginie. Socjaliści rewolu-

cyjni mogą zwyciężyć sto razy na polu bitwy, zastępy robotnicze mogą obnosić od stolicy do stolicy zwycięzki swój sztandar czerwony, lecz jeżeli nie zdołają natychmiast zastąpić właścicieli, kapitalistów, przedsiębiorców ludźmi wybranymi z pomiędzy siebie — wszystko to nie zda się na nic. Trzeba będzie wszystko rozpoczynać na nowo. A nie myślcie, bym własne wygłaszał zdanie. Są to słowa Hercena, który pisał: „Choćby nawet wysadzono dziś prochem (nie znał jeszcze dynamitu) cały ten stary świat w powietrze, — jeszcze odrodziłby się on z popiołów mieszczańskim niestety“.

No, jakże? Czy czujecie się na siłach tak z dnia na dzień zastąpić klasę, która dotąd trzymała w dłoni całe kierownictwo ekonomiczne? Jeżeli odpowiedź wasza brzmić będzie „tak“, to zmuszony będę pomyśleć, że nie odznaczacie się skromnością. Nie tłumaczcie mi, że w kwestji produkcji bogactwa wiedzieć będziecie to samo, co wasi pracodawcy, bo przecież wy sami te bogactwa produkujecie. Zastanówcie się, że dziś przedsiębiorstwo wytwórcze zajmuje miejsce drugorzędne, najważniejszy jest dział handlowy i on to rozstrzyga o powodzeniu lub klęsce. Owóż ta nauka handlu, ta umiejętność administrowania kapitałami, gdzie pomyłka kilku

centymów w obliczeniach na przyszłość może pociągnąć za sobą różnicę wielu tysięcy w ostatecznym wyniku, ten dar śledzenia kaprysów mody i nasuwania nowych potrzeb spożywców, znajdującym się częstokroć na drugim końcu świata,—czy wy to wszystko posiadacie? I czy ta klasa robotnicza nazajutrz po rewolucji, ogarnięta szaleństwem zwycięstwa, potrafi poddać się dobrowolnie i natychmiastowo rygorowi i systemowi pracy, niezbędnym warunkom wszelkiej pracy zbiorowej?

Nie mówcie mi, że nauczycie się tego z łatwością, bo przecież nie jesteście głupszy od burżujów. Wierzę — nie należę bynajmniej do tych, którzy twierdzą, że kierownictwo fabrykantów wymaga koniecznie dziedzicznej umiejętności i zasług, — lecz powiedzcie mi raz jeszcze, gdzie i kiedy możecie się tego wszystkiego nauczyć? Przecież nie przy pracy najemnej, również nie drogą bezpłatnej i obowiązkowej nauki, ani nawet przy pomocy zupełnego wykształcenia, którego domagają się obecnie niektórzy w swych programach, jakgdyby wyraz ten posiadał jakieś magiczne własności. Pozwólcie, że ja, jako profesor, który już sporo egzaminów przechodził w życiu, wyrażę moją niewiarę na temat, jak niewiele nauka na ławie szkol-

nej może przysposobić do życia praktycznego.

Dla klasy robotniczej jeden jest tylko sposób: ćwiczyć się w obracaniu kapitałami w praktyce handlowej, obznajmiać się z mechanizmem przedsiębiorstw zbiorowych i to uczyć się prowadzić te interesa na własny rachunek, czyli organizować się w stowarzyszenia współdzielcze. Te właśnie stowarzyszenia współdzielcze spożywcze, kredytowe lub wytwórcze dadzą klasie robotniczej w odpowiedniej chwili potrzebne jej ramy.

Na początku niniejszego odczytu mówiłem o praktycznych korzyściach z kooperatywy. Otóż najważniejszą z nich jest ekonomiczne kształcenie pracowników: udzielanie im wiedzy technicznej i wyrabianie w nich wysokiej wartości moralnej, bez których nie zdolaliby nigdy zająć w ustroju społecznym stanowiska, do którego wzdychają i do którego mają słuszne prawo.

Już przed kilkoma laty, na kongresie w Ljonie wypowiedziałem to samo zdanie i z przyjemnością spotkałem się z nim prawie dosłownie wyrażonym niedawno w Stanach Zjednoczonych, mianowicie w broszurce p. John Samuela, sekretarza Biura współdzielczego Rycerzy pracy. Wymienia on rozmaite przyczyny, które powinny skłaniać

robotnika do zostania kooperatystą, i kończy w ten sposób: „Moim zdaniem jest to jedyna droga, która doprowadzić może pracowników do stanowiska, jakie zająć mogą i powinni,... bo magazyn współdzielczy oprócz kapitału da im wdrożenie się do interesów, nauczy ich całego mechanizmu wielkiej zbiorowej produkcji we wszystkich jej działach, da im środki do czynnego szerzenia propagandy przy pomocy odczytów i kongresów, da im potęgę i nauczy ich używać tej potęgi z jak-największą dla nich korzyścią i do najszlachetniejszych celów“.

Ci przeto, którzy utrzymują, że obecny ustroj społeczny można zmienić odrazu, natychmiast, są w błędzie sami lub usiłują was w błąd wprowadzić. O ile mowa o rewolucji politycznej, to rzecz inna. Lecz jeżeli chodzi o zastąpienie całego istniejącego ustroju ekonomicznego ustrojem nowym zupełnie — na to potrzeba długiej uprzedniej pracy przygotowawczej, podobnej do tej powolnej i cichej pracy, o której wspominałem przed chwilą, a która z łona Oceanu Spokojnego wydobywa na jego powierzchnię wyspy Koralowce siłą niewidzialną i nieprzerwaną, lub wznosi cudowny gmach kryształów na dnie naczynia, pod warunkiem wszakże, aby nikt nie mącił płynu.

Przypomina mi to rozmowę, jaką miałem z jednym z przywódców partji socjalistycznej. Mówił mi o konieczności rewolucji; odpowiedziałem mu na to: „Wierzysz pan w ewolucję (bo wierzył w nią), a zatem wierzysz pan, że społeczeństwo może się przeobrazić jedynie siłą praw przyrodzonych, a takie przeobrażenia odbywają się zawsze powoli, prawie niewidocznie. Ież to wieków było potrzeba, aby niewolnictwo zamieniło się w poddaństwo, a poddaństwo w pracę najemną. Jakże więc możesz pan sobie wyobrażać, że rewolucja społeczna może się dokonać w ciągu jednego dnia?“

Odpowiedział mi na to: „Ewolucja może doskonale iść w parze z rewolucją. Natura sama może nam posłużyć za przykład. Weźmy kurczę w jajku: kształtuje się ono według praw przyrodzonych, rządzących ewolucją każdej żywej istoty, lecz nadchodzi dzień, kiedy aby wyjść z jaja, musi rozbić uderzeniami dzioba skorupę, która mu była więzieniem. To jest jego rewolucja. Podobnie i klasa robotnicza w dniu, kiedy zechce wyzwolić się ostatecznie i wyjść na światło dzienne, będzie musiała złamać siłą tę skorupę praw, przesądów i monopolów, jaką czas wytworzył naokoło niej, a która trzyma ją w prawdziwym więzieniu, — i to

będzie nasza rewolucja, rewolucja zupełnie zgodna z prawami przyrody“.

Odpowiedź była wcale dobra. Czy wolno mi teraz powtórzyć, com mu odpowiedział z kolei? Oczywiście, kurczę, aby się wykluć, musi zrobić swoją małą rewolucję, jak ją pan nazywasz, lecz rozbija ono skorupę wtedy dopiero, kiedy jest już zupełnie ukształtowane, a więc kiedy już posiada pierze, dziub i pazury; to też skoro tylko wyjdzie z jaja, idzie dziobać ziarno na równi z ojcem i matką. Gdyby skorupę rozbiło parę dni zawczesnie, czekałaby je śmierć niechybna. Otóż właśnie całe zadanie polega na tym, aby wiedzieć, czy w obecnej chwili klasa robotnicza jest już dostatecznie ukształtowana do tego nowego życia, do tych nowych warunków bytu, do których tak gorąco wzdycha? I ona dobrze zrobi, jeżeli rozbije swą skorupę wtedy dopiero, kiedy i ona posiadać będzie pióra, dziób i pazury, a wszystko to da jej właśnie kooperacja, ona jej da bowiem narzędzia produkcji i umiejętność posługiwania się niemi. Klasa mieszczańska, t. zw. stan trzeci, była przygotowana do objęcia ekonomicznego kierownictwa społeczeństwa i w rzeczywistości objęła je przedtym, nim dokonała rewolucji 1889 roku.

* * *

Kiedy pragnę wyobrazić sobie organizację przyszłego społeczeństwa — naturalnie w granicach, w jakich nasza krótkowzroczna nauka pozwala na wyobrażenie sobie przyszłości wogóle, — widzę ją zawsze w postaci mnóstwa najrozmaitszych stowarzyszeń, jednych olbrzymich, drugich znów bardzo drobnych, do których wszyscy ludzie należąc będą dobrowolnie, — z wyjątkiem chyba dzikich: stowarzyszeń, w których pracownicy otrzymywać będą całkowity rezultat swej pracy, ponieważ będą oni posiadaczami narzędzi produkcji; stowarzyszeń, znoszących wszelkie pośrednictwo, ponieważ będą same wymieniać swe produkty pomiędzy sobą; stowarzyszeń, które nie będą bynajmniej niweczyć inicjatywy indywidualnej, ponieważ ta pozostanie zawsze ukrytą sprężyną, poruszającą każde z nich, i dzięki zasadom solidarności ochraniać będzie jednostkę od wypadków losowych; wreszcie stowarzyszeń, które nie znosząc emulacji koniecznej dla postępu, zniweczą współzawodnictwo i walkę, bo zniosą przyczyny nieporozumień dzielących i jątrzących dziś ludzi pomiędzy sobą. Bo przecież wszelka forma kooperatywna jest niczym innym, jak tylko rozstrzygnięciem pewnego rodzaju pojedynku: stowarzyszenie spożywcze — pojedynku pomiędzy sprzedaw-

ca i nabywcą; stowarzyszenie wytwórcze — pojedynku pomiędzy pracodawcą a najemnikiem; stowarzyszenie kredytowe — pojedynku pomiędzy wierzycielem i dłużnikiem.

Oto moje marzenie. Pragnę gorąco, aby stało się ono i waszym. Zarzucano mi niejednokrotnie, a może i wy robicie mi w tej chwili ten sam zarzut, że zbyt często wskazuję w kooperacji widoki bardzo oddalone. Mówiono mi, że zamiast błąkać się po gwiazdach z kooperatystami (za przykładem Balina), stokroć lepiej byłoby z mej strony wskazać im sposoby robienia dobrych interesów, wygodniejszego życia, nadewszystko zaś nie przejadania całkowitego swego zarobku. Zarzuty te nie są zupełnie bezpodstawne, lecz nie czuję się bynajmniej niemi dotkniętym. Nie przeczę, że skoro się chce iść naprzód, nie wystarcza patrzeć w niebo, bo możnaby kark skręcić. Na ostatnim kongresie kooperatystów w Tours prezydent honorowy p. Fryderyk Passy zakończył swą wspianą mowę, zalecając słuchającym go kooperatystom rozwagę i ostrożność. „Nie spoglądajcie zanadto w górę — mówił — i wstępując po drabinie nie podnoście drugiej nogi, dopóki pierwsza nie stoi bardzo pewnie“. Przyznawałem w duszy, że rady te są bardzo mądre, mimo to jednak

stanęła mi w myśli wielokrotnie słyszana opowieść o chłopcu okrętowym, wdrapującym się po raz pierwszy po drabinie na wielki maszt. Słuchał on rady przed chwilą przytoczonej, patrzył nieustannie pod nogi, nie odrywając stóp od szczebli, dopóki się dobrze nie przyjrzał, gdzie je ma znowu postawić... gdy poczuł zawrót głowy. Upadek zdawał się nieuniknionym. Już miał puścić drabinę, gdy kapitan porwał tubę i krzyknął nań: „Patrz w górę, a nie upadniesz“.

Oto dlaczego i ja, ilekroć wolno mi będzie przemawiać do kooperatystów, zawsze wołać będę: Patrzcie w górę, a nie upadniecie. Bez wątpienia, byłoby zbrodnią kołysać lud chimerycznemi mrzonkami. Jednakże obowiązkiem jest wskazywać cel tym wszystkim, którzy tak ciężko walczyć muszą z przeciwnościami i przeszkodami na drodze i którzy, gdyby od czasu do czasu nie dojrzeliby szczytu poprzez skrywające go obłoki, poczuliby wyczerpanie sił i odwagi przy takim wstępowaniu na górę wierchołka, którego oczy ich dojrzyć nie mogą.



8.2.21

1000, 11, 1900

Biblioteka AŚ Kielce

AŚ



0407296

BIBLIOTEKAZKA „S

W Y S Z Ł Y :

K. Gide. Znaczenie idei solidarności w programie ekonomicznym. Cena 15 kop.

Edw. Abramowski. Ideje społeczne kooperatywności.
Cena 30 kop.

K. Gide. Przyszłość kooperacji. Cena 20 kop.

W PRZYGOTOWANIU :

Stan. Wojciechowski. Ruch współdzielczy w Anglii.

Edw. Abramowski. Kooperatywa spożywcza, jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego.

Józef Beck. Współdzielczość, jako program życiowy.

Edw. Abramowski. Spółki włościańskie.

Podręcznik dla stowarzyszeń spożywczych (praca zbiorowa).